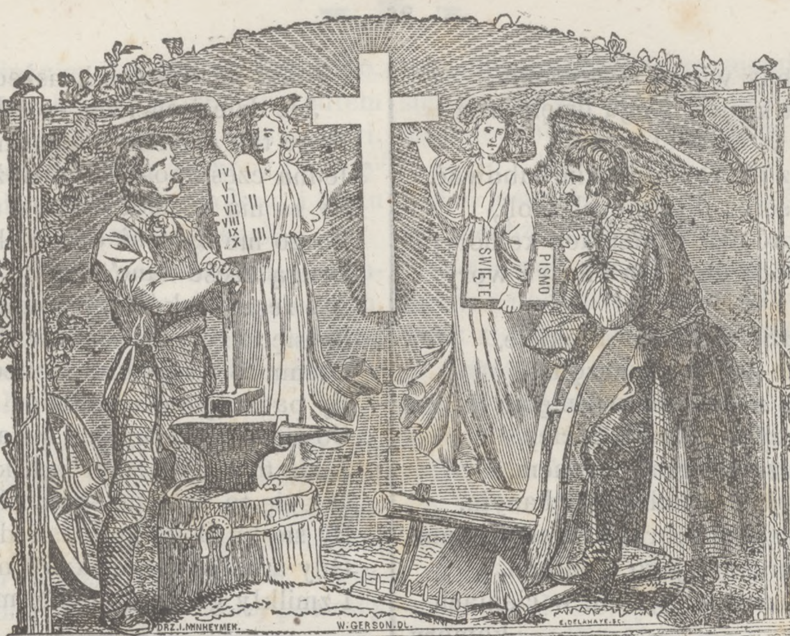
ROK CZWARTY.

№ 4.

WARSZAWA
D. 11 (23) stycznia
1859.

Niedziela
trzecia po
Trzech
Królach.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnéj
Nr. 1527.

Prenumerata rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie kop. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k sr. 15. Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, anżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.‘ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Wszechmocny, wieczny Boże! racz wejrzéć łaskawie na słabość naszę, a dla obrony naszej dźwignij prawicę majestatu Twego (Kollekta na trzecią Niedzielę po Trzech Królach.

Skarb zakopany.

—

Miał jeden bogacz dużo pieniędzy...
Z łez pono braci robił dukaty;
A kiedy marli naokół w nędzy,
Jemu przyrastał worek pękaty.
Jako nietoperz do ciemnej ściany,
Tak on się do swej skrzyni przylepiał;
A gdy świat tonął łzami zalany,
On wzrok z umysłu na to zaślepiał,
I na pociechę szedł do komory
Śmiać się do złota i liczyć wory.

—

Utracił żonę, lecz łaska boża!
Po biednej matce zostało dziatek;
Każde tam rosło jak dziki kwiatek,
Wiatrem zagrzany w ciemne bezdroża.
Wzrosły jak młode wilczki na polu,
Nie dbał, umiejąż ojców pacierze?
A kiedy które kwiliło w bolu,
On tak się nad niem litował szczerze,
Że szedł co prędzej w cienie komory
Śmiać się do złota i liczyć wory.

—

Miał on służalce, co krwawym potem
Dopomagali w doli i roli,
Co pracowali nad jego złotem,
A sami prawie chodzili goli;
I gdy czas służby mijał na gody,
Każdemu ujął z rocznej zapłaty,
Dając sumienia swego dowody.
Za łzy skrzywdzonych, poszedł dukaty
Mierzyć, ukryty w cieniach komory,
Śmiać się do złota i liczyć wory.

—

Miał i strapienia w takiem istnieniu,
Miał swoje mole, jak każdy w świecie,
Gdy kamień wspomnień pierś podłą gniecie,

Lub kiedy robak wierci w sumieniu.
Lecz miast za krzyże Bogu dziękować,
Prosić o ulgę w czarnej niedoli,
On szedł się z skarbem drogim lubować,
Pozbywać z serca dręczących moli,
I szukać ulgi w cieniach komory,
Smiać się do złota i liczyć wory.

—

Nie jemu śliczne słonko w błękicie,
Ni te anielskie gwiazdek oczęta,
Nie jemu rosa z drzewin zwiśnięta;
Jego przy skrzyni żelaznej życie,
Jemu Dom Boży nie grał organem,
Nie jemu przyjaźń z ludem kochanym.
Gdy dłoń wyciągnął żebrak z zmarszczkami,
On tak się wzruszył jego modłami,
Że poszedł wzdychać w cieniach komory,
I jak różańce przeliczać wory.

—

Cóż? wszak nie wieczne chciwcowi życie;
Posłyszał śmierci skrzydła złowrogie,
Już i zajrzała mu w oczy skrycie.
Ach! te pieniądze, pieniądze drogie!
Co robić?.. zwlec się z łoża czworakiem,
Wkopać skarb nocą cicho, w ogrodzie,
By go kto nie skradł czasem w przechodzie,
A kiedy konał *wielkim biedakiem*,
Żałował z skruchą, że śród komory
Smierć mu już nie da przeliczać wory.

Umarł.... a wkoło o nim prawili,
Że dopatrzono nieraz w przechodzie,
Jak co noc błądzi duch po ogrodzie,
Szukając czegoś, jak dziecko *kwili*.
Jak żebrak głodny w niebogłos *błaga*,
Jak do nóg pada czeladka *naga*,
Jako się przed nim *palą* pieniądze,
Niby to jego przedśmiertne żądze,
Kiedy to milczkiem w cieniach komory
Śmiał się do złota i liczył wory.
Jednak gdy *pierwszą* kury zapiały,
Z ciężkiemi jęki znikał duch biały.
Mówiono więcej: że z śmiercią jego
Ogród nie kwitnie kwieciem majowem,
Że drzewa uschły co do jednego,
Owoc nie pałał licem różowem.
Długo tak było; aż ktoś roztropny
W strachy niebardzo wierzyć pochopny,
Rozległy ogród jął kopać cały,
I dobył na wierzch kruszec spleśniały.
Już dzieci chciwca rzuciły ziemię,
Więc tak dzielono pieniężne brzemię:
Jedna część poszła na Bożą chwałę,
By za nią kościół we wsi stawili,
Bo go nie było aż do tej chwili,
Drugą część dano między zgłodniałe,
A z reszty szkółkę wybudowano,
By się uczyły wieśniacze dzieci:
Czemu to wszystkim słoneczko świeci;
By pacholętom zrozumieć dano,
Co się na Bożym tym światku dzieje,
Jakie to ludów zmarłych koleje,
Jak się to bratnim spajać łańcuchem,
By się ku Bogu podnosić duchem.
Gdy tak zrobiono, skwitł ogród w jarze, (1)
I zmilkły gadki o nocnej marze.

Taką nam ojce podają powieść;
Cudnych z niej rzeczy możnaby dowieść.
Zakopał, prawda... uschły drzewiny,
Znikły owoce, powiędły liście,
A duch z brzemieniem przedśmiertnej winy
Słaniać się musiał w ciężkiem cierpieniu!
Przy łzach u ludzi i złorzeczeniu
Piękna myśl, bracia! bo rzeczywiście
Ogród zwiędnięty, to *brzydkie życie*,
Drzewa szkielety, to *czyny* człeka,
Który *owoców dobrych* nie zrodził;
A nocna mara cierpiąca skrycie,
To *pamięć*, jaka każdego czeka,
Kto w trądzie skąpstwa na ziemi chodził,
Kto skarb *ludzkości* trzymał w ukryciu,
Nie znał, co szczęście bratnie, cierpienie;
Za to mu *pieniądz*, jeszcze w tem życiu
Pali zgryzotą czarne sumienie.

(1) Jar znaczy wiosna.

Piotr Sędek.

—

Abyście czytelnicy dokładniej przekonać się mogli, że w każdym stanie człowiek przy uczciwem prowadzeniu się może być pożytecznym, a nawet wznieść się nad innych i przyczynić do dobra braci swoich, niech wam posłuży za przykład następująca powieść, wzięta z prawdziwego zdarzenia.

— W r. 1821 przejeżdżając przez miasto Kalisz, zatrzymałem się na popasie w jednej z miejscowych oberży. Było to w połowie

Listopada, gdzie już zimno mocno czuć się dało. To też umieściwszy konie w stajni, zaszedłem dla wypoczynku do głównej sali restauracyi. Tu zastałem liczne zebranie, złożone po większej części z obywateli tej okolicy i kilku wojskowych wesoło rozmawiających.

Dzięki Bogu! pomyślałem, nie będę się nudził; jakoż ujrzałem parę osób znajomych, które mię przedstawiły swoim znajomym, co wszystko dopomogło do żywej, i zajmującej rozmowy i wesołego humoru.

Kiedy w tem zebraniu znajdowałem się jakby między swoimi, najwięcej zainteresowała mnie jedna osoba dobitnie z wielkopolska mówiąca. To mój ziomek pomyślałem, trzeba się z nim zapoznać koniecznie, i nietracąc czasu, zbliżyłem się do miłej postawy kapitana i temi zagadnąłem go słowy:

— Chociaż nieznajomy, lecz jako brat szlachcic, kiedy z mowy pana poznałem w nim wielkopolanina mego ziomka, nie mogłem przenieść na sobie, aby mu się nie zaprezentować.

—Bardzo dziękuję panu za jego życzliwość, odpowie kapitan, ale proszę, abyś mnie nie brał za żadnego szlachcica, bo nim wcale nie jestem.

—Jakto?.. pan kapitan żartujesz ze mnie... możnaż dopuścić, aby chłopek był kapitanem?.

—To pan nie dajesz temu wiary, że to chłopek może być kapitanem? O! mój panie szlachcicu, bardzo się mylisz, a choć jesteś moim ziomkiem wielkopolanem, ja do twego szlachectwa załączać się nie myślę, ale śmiało odpowiadam: że Sędek choć jest kapitanem wojsk polskich, nigdy się tego nie zaprze, że jest chłopkiem z ekonomii Uniejów.

Na tak interesującą między nami rozmowę wszyscy obecni zaczęli się do nas skupiać, że w ostatku ja i poczciwy kapitan byliśmy celem powszechnej uwagi. Naturalnie, nie można było milczeć, ztąd też pierwszy zagadnąłem kapitana:

—Przebacz panie kapitanie mojej śmiałości, jeśli staję się natrętem dla ciebie, ale proszę wytłumacz nam tę zagadkę, która tyle ciekawości wzbudza. Podobnie za mną wszyscy powtórzyli:

—Panie kapitanie! jesteśmy wszyscy swoi, twoja mowa bardzo nas zajmuje, tłumacz nam się, bo inaczej gotowi jesteśmy wyzwać cię na pojedynek... i to notabene wszyscy razem.

—Ho... ho... moi panowie! to zawiele—ale widać jesteście ciekawi poznać Piotra Sędka, no, niechże i tak będzie.

—Chcemy, chcemy, zawołali wszyscy; a pan kapitan podparłszy ręką głowę na stojącym obok stoliku, tak dalej ciągnął:

—Otóż moi panowie, jak temu panu mówiłem, że nie jestem szlachcicem, ale tylko chłopkiem z ekonomii Uniejów. To samo i teraz potwierdzam, lecz że jesteście ciekawi dowiedzieć się, jakim sposobem to się stało, zaraz wam opowiem:

Pamiętacie te czasy, kiedy prusak nad nami panował. Mój ojciec był wtenczas kopiarzem w ekonomii Uniejów i miał nas dwóch synów: młodszego Jana, a mnie starszego Piotra. Kiedy nastał pobór, mnie niemcy wzięli do wojska, a choć rodzice u nóg się włóczyli Landratowi, aby mnie puścił; on tylko spokojnie odpowiedział:

Nasz król pruski tak nakazał, to wy też mili, kochani poddani żadnej pretensyi mieć nie powinni.

I nie było innej rady tylko służyć w wojsku. Bóg tylko wie, ile oni mnie nameczyli, bo w żaden sposób nie mogłem się nauczyć niemieckiej mowy. Kiedy uczyli maszerować, wtenczas dla wprawy i lepszego pojęcia, przywięzywali do prawej nogi wiecheć słomy, a do lewej wiecheć siana i wołali: ajn! cwaj! — śloma, siano!... śloma, siano! ajn, cwaj!.. Owa *śloma i siano* niewarte było tych kijów, które oni na nas potłukli.

W owym czasie pułkownikiem u prusaków był niejaki Chlebowski polak; na moje szczęście było mi z nim dobrze, gdyż mnie bardzo lubił, zwłaszcza, jak mu opowiadałem swoje umartwienie z mustrą niemiecką. Wiele on nam przynosił ulgi, starając się, aby do mustry polaków dawano niemca umiejącego popolsku; lecz i to wiele co nie pomagało, a *śloma i siano* niewiele nas czego nauczyło.

W roku 1806 wyszedł rozkaz, aby wszyscy polacy szli pod oddzielne dowództwo. Między niewolnikami pruskimi znajdował się ten sam podoficer, który nas tak męczył

w mustrze. A co niemcze? mówię do niego, co ci teraz będzie lepiej smakować, czy słoma czy siano?

— Ach pan polak! mów ty za mnie, że i ja polak, to mi dobrze z tobą będzie.

— O! nie uczynię tego. I poszedł z drugimi do niewoli, ja zaś ze swymi kolegami dostałem się do właściwego pułku.

Bóg widocznie mną się opiekował; niezadługo bowiem dowiedziałem się, że i tu naszym pułkownikiem jest pan Chlebowski— on też nas przeglądając, gdy mnie spostrzegł w szeregu, zawołał:

— Jak się masz Sędku! to ty żyjesz jeszcze, a twoje plecy całe?

—Panie pułkowniku! puść mnie do swoich; moi rodzice tęsknią za mną, a jak i tu zaczną mi dokuczać, to kości całych nie poniosę do domu.

—No Sędku! odpowie pułkownik, nie bądź dzieckiem; jesteś pilnym i trzeźwym żołnierzem, nie możesz wystąpić z wojska, choćbyś chciał; lecz że znam twoję pilność, to cię mianuję sierżantem, abyś uczył mustry swoich kolegów, bo wiem, że ją znasz dobrze.

I tak przez dwa miesiące uczyłem mustry wyznaczonych mi żołnierzy polskich; mój pan pułkownik był ze mnie kontent jako i moi koledzy, wolałem bowiem sam na kwaterze douczyć tego, czego nie umieli, niśli im kije sypać.

W tymże samym roku 1806 takie nastąpiły wypadki.. Po zupełnej klęsce prusaków kiedy wszyscy zostawali w obozie, ja ujrzałem zdaleka kilkanaście uciekających wozów. Opowiadam się zaraz swemu pułkownikowi, a wziąwszy na ochotę kilku żołnierzy, puszczam się w pogoń za niemi. Dowódca widział nasz zapał, a uważając pomyślny skutek wycieczki, porozumiał się z moim pułkownikiem. Kiedy powróciłem, pułkownik woła na mnie:

—Słuchaj Sędku, jesteś oficerem.

— Ale panie pułkowniku!.. kiedy ja jestem chłopem?

— To nic nie znaczy mój bracie, kiedy twój czyn szlachetny. Widział twój zapał dowódzca i kazał cię nazwać tem imieniem, nawet zostawił krzyż Legii honorowej, oto masz.

Upadłem do nóg memu pułkownikowi, a on podnosząc mnie, tak przemówił:

—Słuchaj Sędku! zostałeś teraz moim kolegą, bądź odważnym, a mam przeczucie, że wyżej jeszcze stanąć możesz.

Następnie, w dalszych walkach otrzymałem stopień kapitana, w którym mnie dziś panowie widzicie.

— Brawo!.. niech żyje poczciwy nasz ziomek P. Sędek kapitan, wykrzyknęła obecna szlachta i ja z nią razem. Gdy jesteś takiej rangi, nie wstydzimy się ciebie, bo kto poczciwości i zasłudze winien swoje wywyższenie, więcej wart, niśli ladajaki szlachcic. Niech żyje kapitan Sędek!.. i wszyscy rzucili się do ucałowania kapitana, który z rozrzewnieniem ściskał swoich braci ziomków.

Nie będę wam opisywał mojego pożegnania z kapitanem Sędkiem. To tylko dodam, że wszyscy obywatele, którzy w przejeździe moim przez Kalisz byli temu obecni, od łez powstrzymać się nie mogli, znajdując w tej prostej duszy poczciwe serce, które tylko zasługom było winno wszystko.

Ciekawi jesteście, co się dalej stało z kapitanem. Oto po wskrzeszeniu królestwa zasługi wojskowe Sędka w tylu walkach doświadczone, nie zostały ukryte w niepamięci. Za swoję pilność i znajomość sztuki wojskowej został posunięty na stopień majora. Wszyscy wojskowi wyższej rangi szanowali w tym człowieku prawość charakteru i niepospolite zdolności żołnierza, a choć Sędek zaledwie podpisać się umiał, jednak przez praktyczną znajomość służby, powszechną zwracał uwagę.

Opowiem wam niektóre szczegóły z życia Sędka, które dałby Bóg, aby przez wszystkich były naśladowane.

Było to w Radomiu w r. 1823 przy głównej paradzie wojska; kiedy nasz major Sędek, wobec całej świty wojskowej przedstawiał swój oddział, dają mu znać, że jacyś biedni włościanie pokryci siermięgą chcą się z nim widzieć. Major Sędek zdaje na chwilę

komendę swemu kapitanowi, a sam biegnie do tych ludzi. Poznawszy w nich ojca i matkę, rzuca się do ich nóg, a po skończonej paradzie, przedstawia rodziców swoim zwierzchnikom. Całe to zdarzenie wszystkim łzy z oczu wycisnęło, a poczciwemu majorowi większego jeszcze przyczyniło szacunku i uwielbienia. Starsi wojskowi nie mogli przenieść, żeby nie uczcić tego wypadku w przyzwoity sposób; zaprosili owych skromnych włościan na obiad, a przy stole na pierwszem posadzili miejscu. Biedne staruszki wymawiali się od tego zaszczytu, lecz nic nie pomogło; pierwszy kielich życzliwy za ich zdrowie wychylono, drugi zaś za zdrowie dobrego syna Sędka majora, który się nie powstydził swojego stanu i swoich ubogich rodziców.

Dzień ten jest pamiętny dla Radomia; dziś jeszcze wiele osób pamięta to zdarzenie, a usta ustom przekazują opowiadania z życia majora Sędka.

Albo znowu inne zdarzenie tej osnowy:

W kompanii dosyć licznéj na imieninach u jednego obywatela, było kilkunastu wojskowych. Zabawa była żwawa i wesoła; pili dosyć, a gdy już niepodobna było innym sprostać, zaczęto się na nas gniewać, i jeden ze szlachty wniósł toast:

— Chyba że kto nieszlachcic, to nie wypije zdrowia, które wniosę.

Na takie wezwanie porwali się wszyscy, jeden Sędek ani się ruszył. Spostrzega to szlachta:

— Co to kapitanie, nie będziesz pił? krzyknęła.

— A nie!

— A to czemu?

— Boś pan tylko szlachtę wezwał, a ja chłop.

Na urlopie będąc w domu, nieraz u ojca odbywał pańszczyznę; gdy nastały czasy sianożęcia kazał sobie dwa dni wymierzyć, a przyszedłszy z dobrze wyklepaną kosą, którą sobie sam przyrządził, choć daleko jeszcze było do wieczora, on już dwa dni swoje wyciął.

Sędek przez zasługi wojskowe dostąpiwszy tak znakomitego stopnia, nie wstydził się wcale swoich towarzyszy pracy rolniczej, uczciwych chłopków z ekonomii Uniejów. Wiedział on dobrze, że razem z nimi orał w młodości swojej pracowitą skibę ziemi; to też do samej śmierci był dla nich ojcem, bratem. Wielekroć jaki interes mieli włościanie Uniejowa to z rządem, to z prywatnymi, to go zawsze załatwił z korzyścią nasz major Sędek, wszędzie dotarł; a że miał znajomość z pierwszymi urzędnikami, którzy go szanowali, nietrudno mu więc było doprowadzić go do pomyślnego skutku.

Sędek dawno już nie żyje, ale pamięć o nim nieprędko wygaśnie. Był on walecznym żołnierzem, dobrym kolegą, poczciwym człowiekiem, umiejącym nieść pociechę i osładzać troski swoich braci włościan.

Oto macie przykład pracowici włościanie z Sędka majora, że i chłopek wiejski i kmieć ubogi, jeśli się Boga boi, uczciwie postępuje, chociaż nie ma nauki, może być w swoim zawodzie pożytecznym, a nawet wyżej się wynieść, jeśli usilnej nad sobą dołoży pracy.

Prawdziwe obrazki z życia przykładnych oficyalistów.

Jan Kozarzewski ekonom. (1)

W majątku Okalewie w pow. Lipnowskim gub: Płockiej położonym, po śmierci bezdzietnego właściciela, zaprowadzoną została administracya na rzecz małoletnich spadkobierców. Ustanowionemu przez opiekę zarządcy szło więcej o przedstawienie w swym czasie rachunków i rejestrów w porządku, aniżeli o samo gospodarstwo i intraty; za czem poszło, iż gdy następnie jeden z sukcessorów nabył majątek ów na własność, zastał go w bardzo opuszczonym stanie. Widząc w tem

(1) Artykuł niniejszy nedesłanym został Redakcyi przy następującej odezwie: „Powodowany zamieszczonemi w Czytelni Niedzielnej życiorysami wzorowych kmieci, pospieszam z udzieleniem Redakcyi obrazku, a przedstawiającego uczciwość jednego z oficyalistów dworskich, godną naśladowania, upraszając ją o danie miejsca w kolumnach swego pisma, dla tego rodzaju opisów, przeznaczonych, w nadziei, że przykład mój zachęci i innych braci ziemian do podawania tą drogą podobnych prawdziwyeh przykładów, które stając się moralną nagrodą dla zasłużonych, będą zarazem, co daj Boże, bodźcem dla innych do wstępowania w ich ślady“.

Redakcya Czytelni Niedzielnej dziękując jak najuprzejmiej za nadesłany przy powyższej odezwie artykuł, pospiesza z oświadczeniem, iż ze swej strony uczyni jak najchętniej zadosyć objawionemu przez jego autora życzeniu; upraszając zarazem szanownych ziemian o nadsyłanie pod jej adresem tego rodzaju obrazków z życia czerpniętych, nie wątpiąc, iż podobne opisy oddziałać zdołają skutecznie na podniesienie moralne klassy dworskich oficyalistów i służących.

położeniu potrzebę zmiany oficyalistów, a niemając jeszcze potrzebnego ku temu doświadczeniu, usłuchał rady życzliwego sąsiada i zajął się obsadzeniem folwarków tak zwanemi *staropolskimi ekonomami*. Jeden z nich nazwiskiem Jan Kozarzewski przypominał uczciwą wypogodzoną twarzą, sumiastym wąsem i staropolskim ubiorem, słowem całą postawą owego ekonoma z czasów pana Podstolego, którego nam był tak dokładnie odmalował Krasicki (2). Ekonom ten obsadzonym został na najodleglejszym folwarku, który w czasie poprzedniej administracyi najmniejszą przedstawiał intratę. Właściciel nie zawiódł się na swoim wyborze, bo lubo Kozarzewski słabo pisał i lubił posiłkować się karbowanym kijkiem, intratę wszakże z folwarku oddawał najmniej sześć razy większą niż była dotąd.

Gdy po kilkoletniej ekonomskiej służbie, właściciel zauważył, że Kozarzewski potrzebowałby zatrudnienia, któreby dla jego podeszłego już wieku było lżejszem, przeniósł go na swój główny folwark na pisarza i oddał mu w zarząd spichrz ze zbożem, a nadto nadzór nad przyległemi gumnami.

Nie lubił Kozarzewski na nikogo z dworskich przed panem nastawać, ale gdzie tylko dostrzegł jaką zdrożność, karcił młodszych, strofował równych, a czasem starszych nawet od siebie stopniem ofcyalistów. Żaden z nich wszakże nie śmiał przeciw niemu sarkać, a tem mniej wystąpić ze skargą, bo nie było mu nic do zarzucenia, a jego wyższość moralna, która mu jednała zaufanie i szacunek we dworze, nakazywały mimowolne od tych, co go otaczali, poszanowanie. Był on niejako kamieniem probierczym dla dworskich, gdyż istotną życzliwość, jaką mógł który z nich mieć dla państwa, można było wymierzyć na skalę, jak mniej lub więcej patrzył na pana Jana zukosa.

Razu jednego właściciel wyszedłszy ze dworu do gospodarstwa, zauważył zdaleka koło spichrza jakieś zamieszanie, i ujrzał wymykającego się z'eń raptownie żydka w paltocie, a starego Kozarzewskiego wytrząsającego za nim ręką z pogróżką; czem niepomału zdziwiony, zapytał się, coby to było? idącego właśnie z tamtej strony starego furmana Antoniego, który za poczciwą służbę awansował na gminnego. Lecz ten odpowiedział, że przechodząc, widział tylko zdaleka, jak Kozarzewski żyda łopatą po karku okładał. Pod wieczór wyszedłszy właściciel w podwórze gospodarskich zabudowań, zapytał Kozarzewskiego, co miała znaczyć ta utarczka z żydem u spichrza? Zapytanie to wywołało na twarz starego żywszy rumieniec. Zdawał się unikać odpowiedzi i tylko prawą ręką pomusnąwszy wąsa, a lewą poprawiwszy czapki na głowie, odrzekł krótko:

—Z przeproszeniem W. pana nie mam czasu, zmierzcha się, a muszę zobaczyć, jak obrządzono źrebaki. Widząc go w niezwykłem poruszeniu i zajętego, właściciel zwrócił się ku owczarni, odkładając bliższe zbadanie wypadku do swobodniejszej chwili. Gdy twardym zmrokiem wszyscy już od sprzętu rozchodzić się poczęli, wychodzącego na ostatku Kozarzewskiego zagadnął właściciel na nowo:

—Przecież mi wasan powiedz, co się to tam stało?

Nie bez ponowionego wzruszenia, odpowiedział krótko Kozarzewski:

—Wny panie, ten gałgan myślał, że ja taki złodziej jak on. Gdy na tem uciął, odrzekłem:

— Otóż kochany panie Janie, słyszę, żeś go poturbował łopatą, przecież to sam kupiec.

– Na to znowu z uniesieniem Kozarzewski:

— Gałgan, nie kupiec — wiadomo panu, że dziś sto korcy żyta odstawiało się do Rypina; ten hultaj przed miarą śmiał mi wtykać w rękę 10 rubli, żebym podług jego woli strychował, i...

— I rachował, dodałem za niego z uśmiechem, widząc, że wzruszenie nie dało mu łatwo natrafić na słowo. Spostrzegłszy wreszcie, że mu ten wypadek niemiłe czyni wrażenie, zakończyłem temi słowy rozmowę:

—Pięknie kochany p. Janie, pojmuję ja ciebie dokładnie; zapewne chcesz powiedzieć, że nie ten szlachcic, co się na *ski* lub *cki* kończy, ale ten, co w żyłach swoich czuje krew, która go od nieszlachetnego i brudnego postępku odwodzi.

— Tak jest, tak jest Wny panie, odpowiedział Kozarzewski z przyciskiem i pokręcił wąsa; a gdym mu odchodząc powiedział, aby

(2) Ignacy Krasicki, biskup Warmiński, jeden z najznakomitszych pisarzy w epoce Stanisława Augusta, skreślił był pomiędzy innymi wzór znakomitego gospodarza i obywatela w panu *Podstolim*, w którym takoż przedstawił był staropolskiego ekonoma.

przy tych długich teraz wieczorach przyszedł do mnie na herbatkę i pogadankę:

— Dobrze, dobrze; wszystko mi miłe z rąk Wnych państwa, odrzekł z ukłonem.

Nazajutrz przechodząc ten sam gminny, który był przezemnie pytany, odezwał się krótko:

— Zapewne wiadomo już Wmu panu, co się tu wczoraj w spichrzu święciło, i dodał: chociaż Wny panie żartują z poczciwego Kozarzewskiego, że jest pisarz drewniany (z okazyi owego karbowanego kijka), ale on wart więcej Wny panie, jak niejeden z takich, co to pięknie na papierze niby *sztychują*.

Oby ten mały, ale prawdziwy obrazek był zachętą dla dworskich ofcyalistów i służących do wiernego uczciwego spełnienia obowiązków, a wtedy staną się oni godnymi prawdziwego poważania i przyjaźni swoich państwa, jakich przedmiotem jest dotąd zacny pisarz Kozarzewski.

Maszyna do czesania wełny, lnu, konopi, bawełny, oprzędów jedwabniczych, i t. p. wynalazku p. Jozuego Heilmana we Francyi.

—

Ciała włókniste przedstawiają rozmaite własności, czyli cechy im właściwe, odpowiednio do swej natury; jedne składają się z cząsteczek skupionych, niepodzielnych, tworzących gęsty puch, włoskowaty, niezmiernie giętki i sprężysty, jak bawełna; inne znów złożone są z miazm długich mało elastycznych, w części kruchych, wreszcie nadzwyczaj podzielnych, jak np. konopie, len i im podobne rośliny. Z materyi zwierzęcych, jedne składają się z włókien pokręconych świderkowatych, długości rozmaitej, częstokroć tak zbitych i pozlepianych, że je trudno rozdzielić, jakiemi są wełny w ogólności; inne znowu jak oprzędy jedwabnicze i puch zwierzęcy, są śliskie i łatwo rozsnuwające się. Jakakolwiek wszakże jest ich natura, składają się one wszystkie z massy włókien nierównych zwykle poplątanych i pokrzyżowanych na wszystkie strony. Rozmaite te niteczki rozprostować, oczyścić, obrać z szypłów i węzłów, oddzielić jednej długości, nareszcie rozczesać, uporządkować, oto jest zadanie nowej maszyny.

Do roku 1830 wszystkie te czynności odbywały się ręcznie, i przed Heilmanem nie byłby nikt przypuścił, iżby jeden i ten sam przyrząd mógł być zastosowanym do tych rozmaitych materyj włóknistych, a tem mniej jeszcze, iżby działanie podobnej maszyny prześcignęło wkrótce w szybkości dokładność najzdolniejszych i najwprawniejszych robotników.

A jednakże niezbite fakta dowiodły wprędce znakomitej wyższości przyrządu mechanicznego Heilmana, nad wszelkiemi dotychczasowemi narzędziami. Wymyślił on ku temu celowi dwie maszyny: jednę, którą nazwać można przygotowawczą, rozplątującą włókna i obrabiającą materyały surowe z grubszego, drugą odbierającą od niej przygotowaną robotę w kształcie nieskończonej długości wstęg, które rozdrabnia, prostuje, oczyszcza włókna niemal pojedyńczo, oddziela jednakowej długości, porządkuje je i spają, skupiając rozdzielone ich cząstki także w kształt wstęg, oczyszczonych, rozczesanych i uporządkowanych jak najdokładniej.

Przymioty maszyny tej są takie, iż najdrobniejsze włókienka, pomieszane z paczesią, oraz brakami wełny i bawełny, przeznaczone dotąd dla grempli, mogą być przy jej pomocy doskonale rozczesanemi, co przyczynia ogromne korzyści przemysłowi, przysparzając znakomitą ilość materyału, równie dobrego jak otrzymywany z najlepszych i najdłuższych włókien.

Umysł Heilmana zdawał się wysilić nad tem ostatniem dziełem jego życia; maszyna jego zadziwia równie trafnością pomysłu, ścisłością jak dokładnością i elegancyą w wykonaniu. Dzieło to przebywszy różne koleje i zawody, mniej lub więcej przykre i bolesne, będące zwykle udziałem wielkich pomysłów i odkryć, stało się dziś własnością całego świata przemysłowego. Ale znaleźli się i tu jak wszędzie ludzie zazdrośni, co chcieli zaprzeczyć Heilmanowi pierwszeństwa wynalazku, co chcieli wydrzeć mu w pocie czoła, w bezsennych nocach zapracowaną sławę. Wszakże w tej mierze był on szczęśliwszym od wielu swych poprzedników; zaledwie bowiem pojawiły się pierwsze w Anglii, usiłowania ku zaprzeczeniu wynalazku Heilmanowi, wnet je władza skarciła i stłumiła.

Przemysł francuzki wyrobów z wełny silnie zagrożony ciągłem podnoszeniem się ceny tego produktu, znalazł ogromną pomoc w nowym tym wynalazku, który powiększając znakomicie ilość i jakość materyału, zmniejszał zarazem koszta fabrykacyi przeszło o 100 na 100 procentu. Z dwóch franków 50 centimów (4 złp.) płaconych za niedokładne rozczesanie jednego kilograma (około $2^1/_2$ funtów) wełny, zniżyły się koszta do jednego franka (złp. 1 gr. 18) za też samą robotę wykonaną jak najdokładniej przy pomocy maszyny Heilmana.

Francya posiada dziś przeszło 800 takich maszyn przerabiających dziennie z górą 40,000 kilogramów, a przedstawiających wartość około 100 milionów franków rocznie. Zastosowanie jej do wyrobów z wełny, jest może jeszcze znaczniejszem w połączonych w Anglii. Niemcy posiadają ich 300, Rossya wraz z Polską przeszło 50.

Wynalazek Heilmana przychodzi niemniej w pomoc wyrobom bawełnianym. Przemysł ten nie uczyniwszy przez lat kilka żadnego prawie postępu, wyjąwszy drobnych ulepszeń w fabrykacyi, zdawał się być u swego szczytu, kiedy nagle maszyna Heilmana, nadała mu niespodziewany popęd. Najpiękniejsza bawełna Georgii i Egiptu była dotąd przebieraną i oczyszczaną tylko za pomocą ręki ludzkiej, i to wyłącznie prawie przez miejscowe kobiety. Jest to więc dla Heilmana niemałym zaszczytem, iż wpłynął jednocześnie na wyswobodzenie niewiast od uciążliwej pracy, i zastąpił gremplę i jej niedokładne przyrządy maszyną tak doskonałą, iż nadaje bawełnie czystość, białość i połysk dotąd nie znane.

Przemysł angielski bawełniany posiada przeszło 2400 maszyn Heilmana, francuzki znacznie mniejszy, przeszło 750; inne kraje rękodzielnicze idą skwapliwie za tym przykładem.

Usługi oddawane przędzalniom lnu i konopi, będą wkrótce niemniej ważne. Pakuły stanowiące połowę prawie materyału tak co do ilości jak i wartości, poddane działaniu maszyny Heilmana, dostarczają wyborną przędzę niemniej cenną i użyteczną, jak z włókien najcelniejszych otrzymywana.

Zachody wreszcie około oprzędów jedwabniczych, odzieranie i rozwijanie kokonów, zwykle niedokładne i marnujące dużo materyału wysokiej wartości, uległy najszczęśliwszej przemianie. Robotnicy albowiem są dziś zasłonieni od szkodliwych pyłów przy rozmotywaniu, a reszty które miały wartości od 10 do 76 centimów (od 5 do 38 groszy), sprzedają się dziś po 2 do 9 franków (od złp. 3 gr. 6 do złp. 14 gr. 12). Przeszło 50 maszyn do jedwabiu jest dziś w ruchu we Francyi, gdzie hodowla jedwabników nie jest jeszcze należycie rozwiniętą. Szwajcarya więcej jej oddana, a tak trafna w zastosowaniu wszelkich nowych wynalazków dla swego przemysłu, używa ich dwa razy tyle.

Te tak ważne pożytki zapewniane przemysłowi całego świata, otrzymały uznanie na wystawie powszechnej paryzkiej r. 1855; jakoż przysięgli sędziowie wystawy wyrzekli jednozgodnie, iż wynalazek Heilmana był najznakomitszą usługą, jaka oddana została rękodzielnictwu w przeciągu ostatnich lat czterdziestu.

Wszakże przemysł niejedno to tylko dzieło zawdzięcza jego genjuszowi; poprzednio już zawiadując zakładami tkackiemi w Alzacyi, obmyślił przyrząd tkacki, dotąd bardzo ceniony, pomimo ważnych ulepszeń zaprowadzonych w tej gałęzi rękodzielnictwa. Był on także twórcą sławnej maszyny do haftowania, za którą otrzymał krzyż Legii honorowej na wystawie r. 1844 i która niemniej była cenioną jak maszyna jego z r. 1855. Obok tego francuzkie Towarzystwo do zachęty przemysłu oceniając pracowite pożytki nowej maszyny p. Jozuego Heilman, udzieliło mu nagrodę 12,000 franków ustanowioną przez p. d'Argenteuil, za wynalazek najważniejszy dla przemysłu francuzkiego.

Wyszczególnione tu korzyści i usługi, jakie przynosi nowy ten wynalazek, każą się spodziewać, że i przemysł krajowy pójdzie utorowaną już w tej mierze drogą, i zaopatrzy się obficiej w przyrządy, oszczędzające znakomicie pracy i materyału, co pozwoli wyroby ich fabryk po przystępniejszych zbywać cenach, a przez to stawić czoło konkurencyi zagranicznej.

W druk. J. Ungra. — Wolno drukować. — Warszawa d. (6) 18 stycznia 1859 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*